 Czas czytania: 16 min.

Poniższy tekst to „Wizja św. Dominika Savio”, opowiedziana przez księdza Jana Bosko wieczorem 22 grudnia 1876 roku przed uczniami i rzemieślnikami z Oratorium w Valdocco. W formie snu, Ksiądz Bosko opisuje pojawienie się swojego młodego ucznia, Dominika Savio, zmarłego w opinii świętości, który prowadzi go po rajskim krajobrazie, pełnym duchowych i muzycznych symboli. Opowieść, gęsta od świetlistych obrazów, przesłań nadziei i odwołań do czystości, miłości i posłuszeństwa, kończy się proroctwami dotyczącymi przyszłości Zgromadzenia Salezjańskiego i losów niektórych jego członków. Jest to cenny dokument pedagogiki prewencyjnej i mistyczno-symbolicznego świata Księdza Bosko, który potrafi przemówić do serc czytelników również dzisiaj.

Nareszcie wieczorem, 22 grudnia, Ksiądz Bosko opowiedział swój pamiętny sen. Z tej okazji przyspieszono modlitwy wieczorne, a w sali zebrali się tak gimnazjaliści, jak i rzemieślnicy oraz wszyscy inni zamieszkujący w Oratorium. Oczekiwanie było ogólne. Święty wstąpił na podwyższenie, przyjęty frenetycznymi oklaskami przez zebranych. Kiedy dał znak, że chce mówić, nastąpiło głębokie milczenie.

Wieczorem, kiedy zatrzymałem się w Lanzo, w godzinach spoczynku miałem następujący sen. Jest to sen, który nie ma nic wspólnego z innymi snami. Są to rzeczy doprawdy dziwne. To, co powiem, możecie oceniać jak wam się podoba, ale stosownie do słów św. Pawła: „Quod bonum est tenete”. Skorzystajcie z tego, co uznacie za odpowiednie dla siebie. Kto nie chce wierzyć, może nie wierzyć. Nic mi na tym nie zależy. Ale niechże nikt nie odważy się podśmiechiwać z tych rzeczy, o których będę mówił. Proszę was także o tym nie opowiadać osobom z poza Oratorium, ani nie pisać tego do domu. Sny są snami. Ci, którzy nie znają naszego życia, łatwo mogliby sobie wyobrazić fałszywy sąd o tym wszystkim. Wam zaś chcę opowiedzieć wszystko, co wiem, a czasem nawet to, czego nie wiem /ogólny śmiech…/. To zaś, co ojciec opowiada swoim dzieciom, to ma zostać pomiędzy nimi i nie powinno się tego wynosić, dokąd indziej. Wiedzcie, że sny zdarzają się człowiekowi, gdy śpi. Otóż w nocy, 6 grudnia, kiedy już byłem sam w swoim pokoju /nie zdaję sobie sprawy, czy wtedy czytałem, czy przechadzałem się, czy już byłem

w łóżku/ zacząłem śnić.

W jednej chwili zdawało mi się, iż jestem na małym pagórku na skraju rozległej równiny. Wzrok gubił się w jej bezmiarze przypominającym toń morską, niemąconą najlżejszym powiewem wietrzyku. Rzec było można, iż to ocean rozlanego kryształu o mieniących się kolorach, na którego brzegu ja stałem… Więcej jeszcze uroku przydawały tej czarującej okolicy szerokie, obsadzone bujnym kwieciem aleje, łączące przecudne parki – ogrody, a w nich kępy drzew przedziwnych, zieleńce, klomby kwiatów o najrozmaitszych barwach i kształtach. Żadne z naszych roślin nie da się z nimi porównać… Roślinki, kwiaty, krzewy, owoce jakżeż były rozkoszne i powabne: liście lśniły złotem, pnie i gałęzie mieniły się diamentami, a wszystko zharmonizowane z otaczającym je przepychem. Wprost niepodobnym było zdać sobie sprawę z tej przebogatej różnorodności, wśród której i najmniejsza trawka błyszczała jej tylko właściwym światłem.

A wśród tych rajskich ogrodów na całej przestrzeni widziałem liczne, wspaniałe pałace, których piękno, styl, bogactwo, rozmiar, były tak niezwykłe, że wszystkie bogactwa ziemi nie wystarczyłyby do wzniesienia jednego z nich. Podziwiając je, myślałem sobie: gdyby moi chłopcy mieli, choć jeden taki, jakże byliby zadowoleni, jakże czuliby się szczęśliwi… Tak sobie myślałem, oglądając te gmachy tylko z zewnątrz. Jakiż dopiero przepych musiał zalewać ich salony!

Gdy tak patrząc na wszystko, nie mogłem nasycić oczu tymi cudami, oto daje się słyszeć muzyka tak miła, a tak harmonijna, że trudno mi to wyrazić. Nasze ziemskie muzyki w porównaniu – to doprawdy kociokwik /stonatura/. Grały tam setki instrumentów, każdy dźwiękiem o jemu właściwej barwie, a wszystkie te dźwięki łączyły się w potężne, pełno brzmiące akordy, rozpływające się rytmicznie w przestworzach. Na tle owej muzyki śpiewały liczne chóry.

I teraz ujrzałem całe rzesze ludzi rozbawionych wesoło w owych ogrodach. Oni to właśnie śpiewali i grali. Co za cudne były te melodie. Każdy głos, każda nuta ze swoistą koloraturą robiły wrażenie, jakby tysiące grały, czy śpiewały… A wszystkie tony, głosy i dźwięki od najniższych do najwyższych w przegubach krzyżujących się tonacji tworzyły razem swoistą, iście rajską symfonię, godną zaświatów. Z twarzy uszczęśliwionych śpiewaków widać było, że rozkoszując się własnym śpiewem, cieszą się i radują śpiewem innych, a każdy z nich śpiewając, pragnął jeszcze śpiewać, a słuchając dalej, chciał słuchać śpiewających. A oto, co śpiewali: SALUS,

HONOR, GLORIA DEO OMNIPOTENTI… Życie, chwała, cześć Bogu Wszechmogącemu – Stwórcy wieków, który był, który jest, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych na wieki wieków…

Gdy w zachwycie słuchałem tych niebiańskich pieni, oto ukazuje mi się wspaniały orszak, ale większość była mi nieznana. Ta niezliczona ich rzesza szła ku mnie. Na ich czele postępował Dominik Savio, zaraz za nim ksiądz Alassonatti i wielu, wielu innych kleryków i księży, z których każdy prowadził grupę chłopców.

Gdy już podeszli do mnie na odległość kilku kroków, przystanęli. Wtedy rozbłysło jakieś oślepiające światło; wszystko umilkło i nastała zupełna cisza. Jak miło było na nich patrzeć. Z oczu wszystkich tryskała najżywsza radość, a z twarzy przebijał bezmiar niewypowiedzianego szczęścia. Spoglądali na mnie z serdecznym uśmiechem, jakby mi chcieli coś powiedzieć, ale jednak milczeli…

Dopiero Dominik Savio postąpił parę kroków naprzód i stanął tak blisko mnie, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym go dosięgnąć. Stał chwilkę w milczeniu, patrząc na mnie, przymilnie uśmiechnięty. Jakże on był piękny. Ubranie jego szczególnie się wyróżniało: powłóczysta, lśniąca bielą suknia spływała mu aż do stóp, przetkana diamentami i bramowana złotem. Przepasany był szeroką, szkarłatną szarfą, również tkaną gęsto kosztownymi perłami, jedna przy drugiej. Tworzyły one między sobą przedziwne wzory, a także miały cudną grę kolorów, że stałem nimi olśniony. Z ramion spływał naszyjnik dzierzgany kwiatami przedziwnymi, a właściwie brylantami o przecudnym połysku świateł, splecionych złotymi nićmi między sobą. Ich blaski nieziemskie przewyższały jasność słońca, które wtedy rozlewało na tę krainę swój urok wiosenny. A to wszystko było tylko obramowaniem twarzy tego Młodzieniaszka, pełnej piękności i wdzięku niebiańskiego, opromienionej aureolą tęczy. Z głowy, uwieńczonej koroną róż, włosy bujnymi lokami opadały mu na ramiona. Cała jego postać była tak piękna, tak miła, tak powabna, iż zdawało mi się miałem wrażenie tak, miałem wrażenie, że to Anioł /Mówiąc o tym, Ksiądz Bosko, widoczne było, iż szukał słów na oddanie tego, co czuł, co wtedy przeżywał we śnie, a wreszcie skończył ten opis jakimś dziwnym gestem i takim tonem głosu, że to wszystkich słuchających zastanowiło/.

Także i wszyscy inni, którzy mu towarzyszyli, jaśnieli nadziemską światłością. Ubrani byli różnie, ale każdy przepięknie, któryś mniej, ktoś inny więcej bogato; ten w jeden sposób, tamten w drugi: ten w jednym kolorze, tamten w innym, a poszczególne szaty miały osobny swój krój, nieznany na ziemi: biodra zaś wszyscy mieli przepasane jednakową szkarłatną wstęgą.

Na widok tego wszystkiego myślałem sobie: „Co to właściwie ma znaczyć? Jak się tu dostałem? Nic z tego nie rozumie…” Zdezorientowany, cały drżący od uszanowania, nie śmiałem nawet ruszyć się z miejsca. I tak staliśmy wszyscy w milczeniu.

– Nareszcie przerwał tę ciszę Dominik Savio, mówiąc do mnie: Czemu stoisz w milczeniu, jakby przerażony? Gdzież twoja odwaga? Czyż już nie jesteś owym człowiekiem, co to dawniej niczego się nie obawiał, gotów dla wyższych celów na wszelkie kalumnie, prześladowania i przykrości, czy niebezpieczeństwa? Czemu ze mną nie wszczynasz rozmowy?

Odpowiedziałem na to zająknięty:

– Nie wiem, co mówić. Więc to ty jesteś Dominik Savio?

– Tak, ja jestem. Czyż mnie już nie poznajesz?

– A jak się stało, że tu się znajdujesz? – zapytałem zawsze jeszcze niepewien siebie.

A na to Dominik bardzo poufale:

– Przyszedłem, aby z tobą porozmawiać, jak to rozmawialiśmy na ziemi. Nie przypominasz już sobie, jak mnie wtedy kochałeś? Ile mi dałeś dowodów życzliwości, jaką troską mnie wtedy otaczałeś? Ale też i szczerze odpowiedziałem na twoją miłość i miałem pełne zaufanie do ciebie. Czemuż, więc teraz miałbyś się czuć zakłopotany, czy się obawiać? Pytaj, więc śmiało, o co chcesz.

Na te słowa trochę bardziej opanowany rzekłem:

– Jestem strwożony, bo nie wiem, gdzie się znajduję.

– Jesteś w miejscu szczęśliwości – wytłumaczył Dominik – gdzie się używa pełni szczęścia i wszelkich rozkoszy.

– Czy to, więc jest miejsce nagrody sprawiedliwych?

– To zaś nie… Tu jesteśmy w miejscu nie dóbr wiecznych, ale tylko doczesnych, chociaż doprawdy są one bardzo wielkie.

– A więc to wszystko są rzeczy tylko naturalne?

– Tak, tylko naturalne, choć upiększone wszechmocą Bożą.

– A mnie się zdawało – zawołałem – że to niebo…

– Nie, nie. Przenigdy! – odpowiedział żywo Dominik. Żadne oko śmiertelne nie może oglądać piękności wiecznych.

– A ta muzyka i to światło, czyż nie są z nieba?

– Ależ nie i jeszcze raz nie.

– Więc to wszystko jest tak całkiem naturalne?

– Tak, zupełnie w granicach sił przyrody udoskonalonych wszechmocą Bożą.

– Nawet ta jasność przewyższająca blask słońca?

– A nie można, by zobaczyć, choć odblasku światłości nadnaturalnej?

– Nikt nie jest zdolny tego zobaczyć, dopóki nie ogląda Boga twarzą w twarz. Najmniejszy promyk tej jasności uśmierciłby człowieka w jednej chwili, gdyż jest on ponad ludzkie siły.

– A czy możliwe jest światło naturalne silniejsze od tego? Och, gdybyś wiedział… Gdyby tu padł tylko promyk takiego światła, to pozbawiłby cię zmysłów.

– A jednak może by się dało, choć promyczek czegoś podobnego zobaczyć?

– No ostatecznie niech będzie: tak na potwierdzenie tego, co powiedziałem. Otwórz, więc oczy…

– Przecież mam otwarte – odpowiedziałem.

– No to uważaj i patrz w kierunku tego morza krystalicznego.

Spojrzałem… A w tej chwili zabłysnął nagle na firmamencie niebieskim gdzieś w dali promyczek światła, subtelny, jakby cieniuśka nitka, lecz o blasku tak oślepiającym, że oczy nie mogły wytrzymać. Zmrużyłem je i wrzasnąłem strasznie, budząc księdza Lemoyne, co tu jest obecny, a który spał w sąsiednim pokoju. Ów promyczek światła był miliony razy silniejszy od słońca, a jego blask oświecił, by świat cały… Po chwili

pytam Dominika:

– Cóż to było? To już chyba był promień boskich blasków.

– Wcale nie… To w ogóle nie było światło nadprzyrodzone, choć w porównaniu ze światłem słonecznym oczywiście było wielekroć silniejsze. Ale chociażby cała ziemia zalana została morzem podobnego światła, jeszcze to nie dałoby pojęcia najmniejszego o jasności niebieskiej.

– A wy, czym się cieszycie w niebie?

– Tego opowiedzieć nie podobna… Śmiertelny człowiek dopóki nie opuści tego świata i nie połączy się ze swym Stwórcą, tego absolutnie nie pojmie… Cieszymy się Bogiem. Oto wszystko…

Ja tymczasem powoli wróciłem do równowagi, podziwiając piękność Dominika i jego twarzy. Wreszcie zapytałem już całkiem śmiało:

– Czemu twoja suknia tak śnieżnobiała i lśniąca?

Dominik nic na to nie odpowiedział. Ale za to chóry zaczęły śpiewać z towarzyszeniem wszystkich instrumentów: IPSI HABUERUNT… *Ci biodra mieli przepasane i wybielili szaty swoje we krwi Barankowej…*

– A skąd ta szkarłatna szarfa, którą jesteś przepasany? Savio wciąż milczał, dając znak, że nie będzie odpowiadał, ale zaśpiewał ksiądz Alasonatti: VIRGINES ENIM SUNT. Bo dziewicami są i idą za Barankiem, dokądkolwiek idzie.

Zrozumiałem z tego, że przepaska szkarłatna była symbolem ofiar, równych męczeństwu, poniesionych dla zachowania cnoty czystości, dla której Dominik był gotów oddać życie, gdyby tego okoliczności wymagały… Była wysłużoną umartwieniami i pokutą, które oczyszczają dusze z najmniejszych naleciałości grzechowych… śnieżna zaś biel i jej blask świadczyły o zachowaniu niewinności ze chrztu świętego.

Zachwycony śpiewem i pięknością młodzieży zszeregowanej za Dominikiem, zapytałem go: Co to za chłopcy, co ci towarzyszą? A jak to jest – zapytałem ich samych – że chodzicie w takich blaskach? Savio dalej milczał, a zaśpiewali owi chłopcy: HI SUNT. Ci są, jako Aniołowie Boży w niebiosach.

Zauważyłem teraz, że Dominik miał pewne przewodnictwo nad całą tą rzeszą, która trzymała się do niego z szacunkiem w pewnej odległości. Zapytałem go więc:

– Powiedz mi, mój Dominiku, jak to jest, że ty, będąc młodszym od tylu innych towarzyszących ci, idziesz jednak na przodzie i ty przemawiasz, a oni milczą?

– Bo jestem najstarszy pomiędzy nimi.

– To zaś nie… – odpowiedziałem. Wielu tu widzę starszych od ciebie w latach.

– Tak, ale ja jestem pierwszy z Oratorium… *Zresztą legatione Dei fungor* – pełnię poselstwo Boże do ciebie.

Z odpowiedzi tej zrozumiałem, że Dominik ma mi coś do zakomunikowania.

– Mówmy, więc – rzekłem – o sprawach, które nas w tej chwili bliżej obchodzą.

– Owszem, ale spiesz się, bo godziny uciekają i mógłby się skończyć czas dany do rozmowy z tobą.

– Przypuszczam, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

– Cóż ja osobiście mógłbym mieć ci do powiedzenia, ja biedne stworzenie – odrzekł Dominik z głęboką pokorą. Z góry otrzymałem zlecenie, aby się z tobą rozmówić i dlatego przybyłem.

– A więc opowiadaj mi o teraźniejszości, przeszłości i przyszłości naszego Oratorium. Powiedz mi coś o moich drogich chłopcach, o moim Zgromadzeniu.

– Tak, co do Zgromadzenia miałbym ci wiele do powiedzenia.

– Powiedz mi wtedy, co tylko o nim wiesz. Mów mi o jego przeszłości…

– Przeszłość cała na tobie.

– Sprawiłem się czasem po swojemu, co?

– Co do przeszłości mogę ci oświadczyć, że twoje Zgromadzenie zdziałało już wiele dobrego. Widzisz tam w dali niezliczone rzesze młodzieży?

– Widzę – odpowiedziałem – Och, jak ich wielu, a jak oni szczęśliwi.

A on na to:

– A patrz lepiej i czytaj napis nad bramą tamtego ogrodu.

– Tak widzę. Widnieje tam napis: OGRÓD SALEZJAŃSKI.

– Otóż to – ciągnął dalej Dominik. Wszyscy oni byli w mniejszym lub większym stopniu salezjanami, bo albo byli wychowani pod kierownictwem, albo mieli z tobą jakąś łączność i zbawieni zostali wprost przez ciebie, względnie tych księży, czy kleryków, czy nawet innych pokierowanych przez ciebie na drogę kapłaństwa. Policz ich, jeśli możesz. Ale wiedz, że byłoby ich o wiele, wiele więcej, gdybyś miał więcej wiary i ufności w Bogu.

– Westchnąłem ciężko, nie wiedząc, co odpowiedzieć na tę przyganę, ale w sercu postanowiłem na przyszłość bardziej starać się o tę wiarę i ufność w Bogu. Następnie spytałem:

– A teraźniejszość?

Tu Dominik pokazał mi prześliczny bukiet kwiatów. Były w nim róże, fiołki, słoneczniki, goryczka, lilia, mirt i kłosy pszenicy, a podając mi go powiedział:

– Przypatrz się… Bukiet ten pokaż twoim chłopcom, aby wiedzieli, jak on ma wyglądać, kiedy go przyjdzie im wręczyć Panu Bogu; postaraj się, aby go wszyscy mieli, aby nie znalazł się żaden, co by go sobie dał wyrwać. On im zapewni całkowicie szczęście…

– Dobrze, ale co właściwie oznacza ten bukiet?

– Zajrzyj do teologii: tam jest wyjaśnienie.

– Uczyłem się teologii, ale tam o kwiatach nic nie było… nie umiem tego jakoś pogodzić…

– A jednak to twój ścisły obowiązek – podkreślił Savio.

– Zlituj się – prosiłem. Wyrwij mnie z tego ambarasu i wytłumacz mi sam.

A wtedy Dominik:

– Otóż te kwiaty symbolizują cnoty najbardziej miłe Zbawicielowi.

– A które to są?

– Róża to symbol miłości; fiołek – pokory; słonecznik – posłuszeństwa; goryczka – pokuty i umartwiania; kłosy pszenicy – częstej Komunii św.; zaś o cnocie liliowej napisane jest: *Będą, jako Aniołowie Boży w niebiosach* – to czystość; mirt oznacza wytrwałość.

– Dobrze, mój drogi Dominiku. Ty, co za życia praktykowałeś wszystkie te cnoty, powiedz mi, co ci było największą pociechą w godzinę śmierci?

– Jak sądzisz? Cóż by to mogło być? – zagadnął mnie wzajemnie Dominik.

– Może to, żeś zachował cnotę anielską?

– Niekoniecznie. Nie tylko to.

– Może to, żeś miał spokojne sumienie? To chyba błoga nadzieja nieba?

– Ani to.

– Cóż wtedy? Może to, żeś sobie uzbierał skarb wielki dobrych radości.

Wtedy Dominik:

– Otóż to, co mi było największą pociechą w chwili śmierci, to obecność potężnej i ukochanej Matki Zbawiciela. Powiedz to wszystkim twoim synom, by póki żyją, nie przestawali polecać się gorąco Jej macierzyńskiej opiece.

– A odnośnie do przyszłości, co mi powiesz? – zapytałem teraz.

– Co do przyszłości, to w następnym roku 1877 spotka cię wielki smutek. Sześciu i jeszcze dwóch z tych, których bardzo cenisz, będzie powołanych do wieczności. Ale pociesz się, bo z padołu ziemskiego przesadzeni będą do ogrodów niebieskich i ukoronowani chwałą. Nie obawiaj się, zatem, za nich przyjdą inni nie mniej dobrzy.

– A no trudno. A co mi powiesz o Zgromadzeniu?

– Odnośnie do twego Zgromadzenia, to wiedz, że Bóg mu przygotowuje wielkie

rzeczy. W przyszłym roku rozbłyśnie nad nim blask takiej chwały, że będzie widoczny na cztery krańce ziemi. Ale ty bacznie uważaj, aby rydwan, na którym jedzie sam Bóg, nie został przez twoich wykolejony. Jeśli tylko twoi księża będą umieli nim kierować i okażą się godni swej wysokiej misji, przyszłość dzieł twoich będzie wspaniała i przyczyni się do zbawienia milionów. Ale to zawsze pod jednym warunkiem, a mianowicie, aby twoi synowie byli pobożni do Najświętszej Dziewicy i umieli strzec cnoty czystości po swoich domach, która tak jest miła w oczach Bożych.

– A teraz chciałbym usłyszeć jeszcze coś w ogóle o losach Kościoła całego.

– Losy Kościoła świętego są w rękach Boga Stwórcy. Co tam jest postanowione, tego nie mogę ci powiedzieć. To są tajemnice ściśle Jego i żaden z duchów stworzonych nie jest do nich dopuszczony.

– A o Piusie IX mógłbyś mi coś powiedzieć?

– O nim tylko tyle mogę powiedzieć, iż już niedługo będzie jego bojowanie na tej ziemi. Jeszcze tylko kilka potyczek będzie miał do stoczenia, a będzie powołany po nagrodę zasłużoną. Ale Kościół – wiemy dobrze, że nigdy nie upadnie. A czy jeszcze chcesz, o co pytać?

– A co do mnie? – zgadnąłem. Och, gdybyś wiedział, ile jeszcze różnych przeżyć cię czeka… Ale już czas na rozmowę z tobą się kończy: czy jeszcze coś chcesz wiedzieć?

Słysząc to, wyciągnąłem szybko ręce, by ująć tego świętego młodzieniaszka, ale uchwyciłem tylko powietrze…

– Nierozsądny, co robisz? – odezwał się z uśmiechem Savio.

– Boję się, że mi uciekniesz – zawołałem. A to ty nie jesteś tu ze swoim ciałem? Ale gdzież tam z ciałem.

– Przywdzieję je w swoim czasie.

– Czym więc jest ta twoja postać? Przecież wyraźnie widzę w tobie rysy Dominika Savio…

– Widzisz – tłumaczył mi – kiedy dusza jest rozdzielona od ciała, zachowuje swoją

postać dawną zewnętrzną, jaką miało jej ciało na ziemi w tej postaci bardziej upiększonej objawia się. W tej też postaci pozostaje, aż do dnia Sądu Ostatecznego, kiedy z powrotem połączy się z ciałem i z nim wejdzie do nieba. Więc teraz zdaje mi się, że ja mam ręce, nogi, głowę, ale ująć mnie nie możesz, gdyż jestem czystym duchem. A postać ciała tylko, byś mnie mógł poznać.

– Już zrozumiałem. Ale jeszcze jedna rzecz: Czy moi chłopcy wszyscy są na drodze zbawienia? Powiedz mi coś, co bym im dla ich dobra mógł powtórzyć.

– Odnośnie do twych chłopców, których Opatrzność Boża ci powierzyła, to można ich podzielić na trzy grupy. Oto są trzy spisy: I wręczył mi jeden. Przypatrz się dobrze.

Spojrzałem na spis. Na wierzchu był nagłówek: NIEZRANIENI. Byli to ci, co zachowali niewinność chrztu świętego i nie dali się zranić szatanowi, mimo jego nieustannych zasadzek i napadów. Było ich za dużo. Jednych znałem, inni byli mi obcy, widocznie dopiero przyjdą do naszych zakładów. Inni szli jakby przede mną nieustraszeni wąską ścieżką, a choć ciskane były w nich strzały, to jednak bezskutecznie. Postępowali naprzód zwycięsko.

Teraz Dominik dał mi drugi spis z nagłówkiem: RANNI. Ci utracili kiedyś łaskę Bożą, ale ją odzyskali w spowiedzi przez pokutę i rany swe wygoili. Więcej ich było niż pierwszych, a wielu z nich szło przygarbionych i zniechęconych.

Widziałem, że Savio ma jeszcze trzeci spis z nagłówkiem: ZDEPRAWOWANI NA DRODZE WYSTĘPKU. Były tam nazwiska tych, którzy żyli w stanie grzechu ciężkiego. Niecierpliwy byłem zobaczyć tych nieszczęśliwych i wyciągnąłem rękę po ten rulon, ale Dominik żywo mnie zatrzymał. Nie. Zaczekaj chwilkę i posłuchaj. Jeślibyś rozwinął ten rulon, to wyjdzie z niego taki fetor, że ani ty, ani ja nie będziemy go mogli znieść. Wszyscy Aniołowie zaraz się z tego miejsca usuną, a sam Duch Święty czuje wstręt nieprzeparty do zaduchu grzechowego.

– Jakżeż to być może – zauważyłem – skoro Bóg i Aniołowie są niecierpliwi? Jakże mogą odczuwać zaduch idący od materii?

– Mogą jednak, gdyż im stworzenia jakieś są lepsze i czystsze, tym bardziej są zbliżone do duchów niebieskich; przeciwnie zaś, im, kto jest bardziej przewrotny, niemoralny, brudny duchowo, tym więcej oddala się od Boga i duchów niebieskich i jest dla nich przedmiotem wstrętu i obrzydzenia.

To rzekłszy, wręczył ową kartkę, mówiąc:

– Weź ją, rozwiń i umiej wykorzystać dla dobra twych chłopców. A nie zapominaj o bukiecie kwiatów, jaki ci dałem. Pilnuj, aby go wszyscy mieli i zachowali zawsze świeży.

To rzekłszy, usunął się nagle między swych towarzyszy, jakby chciał uciec przez czymś. A ja rozwinąłem papier. Nie widziałem nazwisk, ale wszystkie te ponure postacie stanęły przede mną jak żywe. Równocześnie rozszedł się wokoło taki odrażający fetor, że dostałem od niego torsji i rozbolała mnie głowa. Przy czym ściemniło się, wizja niebiańska rozwiała się i już nic nie widziałem. Naraz błysło się, huknął przeraźliwy grzmot, iż przestraszony… obudziłem się.

Wstrętny odór przeniknął wszystkie zakamarki, przejął odzienie, że nawet w parę dni potem zdawało mi się, że czuję jeszcze ten zaduch. Tak wstrętną jest w oczach Bożych sama nazwa tego grzechu. Nawet w tej chwili na wspomnienie owego wstrętnego występku odczuwam dreszcze, duszność i biorą mnie wymioty.

W Lanzo, gdzie ten sen mi się przydarzył, pytałem tego czy owego, by przekonać się o prawdziwości rzeczy oglądanych we śnie i przekonałem się, że nie był on żadnym przywidzeniem. Widocznie Bóg darzy mnie tą łaską, iż mogę poznać stan sumienia każdego z was. Oczywiście, że o tym nie będę mówił publicznie. Można by tu jeszcze zatrzymać się nam wyjaśnieniem niektórych szczegółów, ale o tym może kiedy indziej. Na razie życzę wszystkim dobrej nocy.

Co dotyczy stanu sumienia niektórych chłopców, jaki ksiądz Bosko oglądał we śnie, to już wiemy, że odpowiadał on w zupełności prawdzie.

Bieg wypadków potwierdził także prawdziwość proroctw zapowiedzianych w wizji. W roku 1877 umarło dwóch kleryków i sześciu wychowanków. W tymże roku spełniło się i drugie proroctwo, głoszące, iż dla Towarzystwa Salezjańskiego wzejdzie zorza tak wspaniała, iż rozbłyśnie ona we wszystkich częściach świata. I rzeczywiście w tym roku zaczęło wychodzić „Bollettino Salesiano” i zorganizowany został Związek Pomocników Salezjańskich. I po dziś dzień stwierdzamy, że „Bollettino Salesiano” rozchodzi się po całej kuli ziemskiej w różnych językach, a Związek Pomocników

obejmuje coraz szersze warstwy społeczne. Trzecia przepowiednia dotycząca zgonu Papieża Piusa IX sprawdziła się czternaście miesięcy później. Ostatnia zapowiedź, bardzo gorzka dla Świętego, wyrażona w owym wykrzykniku: „O gdybyś wiedział, ile cię czeka jeszcze ciężkich przeżyć…” – nie mniej realistycznie spełniała się przez ostatnie jedenaście lat jego życia, jak to zresztą zobaczymy w dalszych tomach. O powyższym śnie dowiedział się niedługo po nim komendant policji w Borgo Dora, który pozostawał w bliższym kontakcie z mieszkańcami Oratorium. Zainteresowała go przepowiednia, dotycząca ośmiu zgonów w roku 1877. Interesował się, zatem pilnie, czy to się sprawdzi. Kiedy dowiedział się, że ósmy umarł dokładnie w dzień starego roku, bez wahania wypowiedział służbę i zapisał się do Zgromadzenia Salezjańskiego. Jest to ogólnie znany ze swej działalności w Zgromadzeniu, nie tylko we Włoszech, ale i w Ameryce ksiądz Anioł Piccono

(MB IT XII, 585-596, MB PL XII,322-330)